ROK PIĄTY.

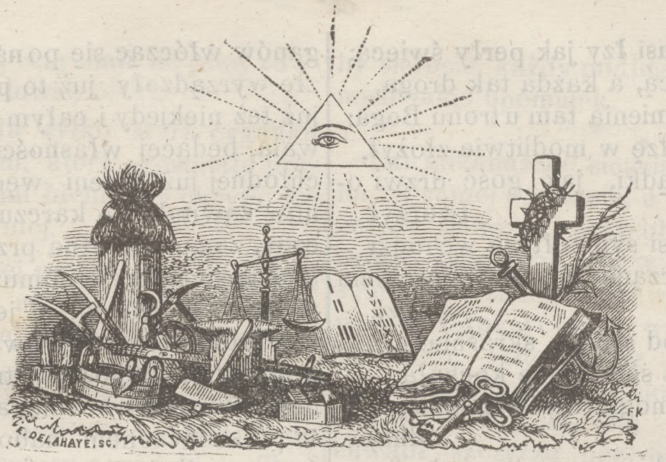
—

№ 7.

WARSZAWA

d. 31 stycznia (12 lutego)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Mięsopustna.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Gdy z studni wody nie bierzesz, woda się psuje i śmierdzi, ale gdy ją przebierzesz, czyści się, a innej dosyć przybywa, i słodka jest do napoju— tak i kupa twoich pieniędzy oczyści się dawaniem, a psuje się leżeniem. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.*)

Piosenka Jagusi.

(Obrazek wiejski)

—

Już nam jesień schodzi, zima niedaleko,
I dnie coraz mniejsze jakby wody cieką:
Rok za rokiem mija, z niemi lata płyną,
I jak Wisła w morze, tak w wieczności giną.
Oj! długie wieczory po wioskach nastają,
Dziewczęta się młode na prządki zbierają,
Codzień w innej chacie przy łuczywie siędą,
I wszystkie z białego lnu kądziołki przędą;
Która nić wysnuje, zwija na wrzeciono,
I duma i tęskni, czyją będzie żoną;
To myśli, to spiewa, a każda powiada,
Że już tego roku iśćby za mąż rada.
Pomiędzy prządkami zasiadła Jagienka,
Sliczna kiej jabłuszko, kiej latem wisienka:
Z włosów dwa warkocze aż pod stopy lecą,
Oczy jak w noc gwiazdy gdy na niebie świecą,
Usta jak z korali rumiano jaśnieją,
Najciszej, najskromniej wśród prządek się śmieją;
Jakby róża w polu, lilija nad wodą,
Tak Jaguś wśród prządek kraśniała urodą:
Najżywiej z nich wszystkich kądziel wyprzędzała,
Najśliczniej, najrzewniej piosenki śpiewała.
Gdy wszystkie żartują, śmieją się z Jagusi,
Że ona sierota panną zostać musi,
To Jagusia w niebo podniosłszy oczęta,
Rzecze: o sierotach toć Pan Bóg pamięta.
Oj! pamięta Pan Bóg o sierocej doli,
To marnie Jagusi zginąć nie pozwoli.
Gdy Jagusia śpiewa, prządki z niej się śmieją:
Oj! głupia Jagusiu, łudzisz się nadzieją,
Że już zaraz przyjdą, o ciebie poproszą,
Żeś dobra i skrzętna, po świecie rozgłoszą!
Oj! nie myśl ty nigdy wcale o zamęściu,
Bo i któż cię pojmie w sierocem nieszczęściu?..
Chyba dziad tam stary, albo ci kaleka...
Ciebie tylko służba u której z nas czeka.
Tak wszystkie żartując, żal w jej sercu niecą,

Aż w oczach Jagusi łzy jak perły świecą;
O! jak perły świecą, a każda tak droga,
Że się w klejnot zmienia tam u tronu Boga:
Bo Anioł sierocą łzę w modlitwie złożył.
I widzą wnet prządki, jak gość drzwi otworzył
Najbogatszy ze wsi syn sołtysa wchodzi
I po wszystkich prządkach modrem okiem wodzi.
Jagusia jak róża od słońca skraśniała,
Bo już tego gościa serdecznie kochała;
Lecz czyż o nim mogła myśleć, kiedy biedna,
I wśród całej wioski sama tylko jedna?
Gość najmilej okiem na Jagusię błysnął,
I jakby królowej do nóg się jej cisnął;
Całuje i prosi: o moja kochana,
Ja niechcę od ciebie droższego już wiana,
Boś ty najbogatsza z całej wioski w cnotę,
I tatuś mi radził, bym cię wziął sierotę!
Mówiąc, że i moja matka nic nie mieli,
Jednak z nią skarb wielki, bo uczciwość wzięli.
Więc i ty bądź moją, boś dobra dziewczyna;
I ojciec już przyrzekł o moja jedyna,
Że nam dopomoże, bo w dobytek mocny,
I Bóg łask udzieli, ten nasz Pan Wszechmocny.
Zawstydzone prządki nie rzekły ni słowa,
I Jagusi służyć już każda gotowa;
Boć od nich tak zamąż z żalem wychodziła,
Jak gdyby im krzywdę jakąś wyrządziła.
Widzicie dziewczęta: Bóg pomógł Jagusi,
Że dłużej sierotą, pozostać nie musi,
Widzicie, jak cnoty ślicznie nagrodzone,
Boć kmieć najbogatszy pojął ją za żonę;
Najbogatszy we wsi i rześki i młody,
I ze wszystkich chłopców najpierwszej urody.
Nauczcie się chłopcy, uczcie się dziewczęta:
Kto uczciwie żyje, Bóg o nim pamięta,
Bóg o nim pamięta, wesprze gdy potrzeba,
Boć On naszym ojcem, patrzy na nas z nieba!

Syn odzyskany.

Przed kilkudziesięciu laty, kiedy bandy cyganów włócząc się po naszym kraju, niejedno złe wyrządzały już to pojedyńczym osobom, już też niekiedy i całym wioskom, do wsi Powala, będącej własnością p. Karola, podczas chłodnej już jesieni wędrowna banda cyganów zawitała do karczmy. Dzień był świąteczny, zamieć śnieżna przytrzymywała wszystkich gospodarzy w domu; karczma była prawie próżna, ledwo kilku jeszcze maruderów w niej pozostało. W Powalu bowiem lud był pracowity, pobożny i trzeźwy, czem boskie błogosławieństwo ściągał na siebie. W święto po skończonem nabożeństwie, choć ten i ów wstąpił do karczmy, to dlatego, by się z sobą zobaczyć, jeden drugiemu poradzić, a choćby i wypić jaki kieliszek, to i basta; a po południu w karczmie jakby wymiótł. Otóż w takim to dniu ze swoim sołtysem na czele gromada cyganów, jakeśmy powiedzieli, zawitała do karczmy Powala.

Karczmarz natychmiast rozesłał o tem wiadomość po całej wiosce z przestrogą, aby się mieć na ostrożności, sam też z żoną na wszystkie strony dawał baczenie, a cyganie w jednej prawie chwili rozproszyli się po wiosce.

Jedni biegli do dworu z wróżbą i prośbą, drudzy po chałupach wioski, by od łatwowiernych wyłudzić co można, inni nakoniec



po rozmaitych kątach, czychali na jaką zdobycz, którąby mogli złowić.

W karczmie została tylko stara cyganka z maleńkiem dzieckiem, które skostniałe prawie od zimna, brudnemi łachmany okryte, tuliło się z płaczem do niej.

Dziecko to najwięcej mogło mieć dwa lata; płeć delikatna i biała, rysy twarzy chociaż już wychudłej, nadzwyczaj miłe, zwróciły uwagę karczmarki i jej męża, którzy nie mając dzieci własnych, a prosząc o nie Boga, radziby i zatrzymać to dziecię przy sobie, gdyby się nie obawiali w niem natury cygańskiej. Skoro jadnak cyganka wygadała się powoli, że dziecię to znaleźli na drodze gdzieś bardzo daleko, i że chcieliby je sprzedać, karczmarze w targ ze sołtysem cyganów, i mały Władzio, takie było imie chłopczyka, został własnością Marcina i jego żony za dwa garnce wódki, trzy bochenki chleba, dwa funty słoniny, dwa funty soli i parę garncy mąki. W kilka godzin cyganie pociągnęli dalej, bo chociaż chcieli pozostać na noc, ale im nie pozwolono, a gdy gromada wieśniaków zeszła się wieczorem do karczmy, by pogawędzić i popatrzeć trochę na wesołe tany młodzieży, pokazało się, że mimo całej baczności Wojciechowi zginęła kura, Bartkowi prosię, Marcinowej trochę przędzy, a Zośce, co ją *przednicą* we wsi nazywali, która pozwoliła sobie wróżyć cygance, zginął fartuszek, co go wtedy miała na sobie. W karczmie więc było gwarno, bo ze śmiechem opowiadano sobie rozmaite historye o chwilowych gościach, a co z Zośki, to śmiano się do rozpuku. Przy tej wesołości każdy się przypatrywał małemu Władziowi, który czysto wymyty i ubrany naprędce, wyglądał jak aniołek. Tysiące domysłów krążyło między zgromadzonymi, aż nakoniec zgodzono się na jedno, że Władzio taki ładny, a taki delikatny, musiał być ukradziony przez cyganów jakiemuś znacznemu państwu. Wszyscy winszowali karczmarzowi jego postępku, a stary Jakób, którego we wsi ojcem nazywali, uścisnął rękę karczmarza i wyrzekł:

— Marcinie, Bóg wam to wynagrodzi.

We wsi Powalu dziedzic i pan ekonom pochwalili czyn karczmarza, a mały Władzio stał się ulubieńcem całej wioski, i ciągle jakby sierocie, każdy podług swej możności przynosił jakiś upominek.

* * *

Lat kilkanaście siedział poczciwy Marcin na tej samej karczmie, a zawsze trzeźwy, pracowity, pobożny, przy błogosławieństwie boskiem zapomógł się w dobytek. Kupił był sobie hubę ziemi, wystawił porządne zabudowanie, założył mały warzywny ogródek i wszystko szło jakby z płatka, bo na wszystkiem opiekę boską mogłeś dopatrzeć. Ale bo też i Marcin zasługiwał na to: chwalił szczerze bez obłudy Pana Boga, służył uczciwie i wiernie swemu panu, był uczynnym dla potrzebujących; w karczmie, sam nie dopuszczał pijaństwa, a choć nieraz Wojtek lub Bartek odgrażając się, wyszli na-pół pijani z karczmy z gniewem na Marcina, to nazajutrz dziękowali mu za to szczerze. Największą jednak nagrodę znajdował Marcin ze swoją żoną w tem, że w krótkim czasie po przyjęciu w dom swój sieroty Pan Bóg dał im syna, a w lat parę córkę. Dziękowali też szczerze za to Panu Bogu, i z równem staraniem chowali wszystko troje dzieci; bo i Władzia małego jak swoje własne dziecko uważali. Dzieci rosły szczęśliwe na chwałę Boga i pociechę rodziców, a gdy już odchowane doszły do kilku latek, Marcin posyłał ich do miejscowej szkółki, która zostawała pod opieką młodego, a ze wszech miar godnego dziedzica. Władzio kończył już lat dwanaście, i drobny na pozór wypadek sprowadził na główkę biednego sieroty niemało zmartwienia. W szkółce wiejskiej było dosyć chłopców z tejże wioski, a Władzio celował nad wszystkimi nietylko urodą, dobrocią, ale i nauką. Nauczyciel często wskazywał wszystkim małego Władzia, jako przykład do naśladowania; ztąd niejeden nic-dobrego zadroszcząc Władziowi, krzywo nań spoglądał i przemyśliwał, jakby mu dokuczyć.

O przypadkowem przybyciu Władzia do wioski dzieci wiedziały od swych rodziców; raz więc jeden z nieuków, gdy otrzymał karę od nauczyciela i gdy mu tenże wskazał jako przykład swojego Władzia, bo tak go nazywał, malec po karze przechodząc koło Władzia, szturgnął go pod bok, nazywając znajdkiem, sierotą. Władzio raz pierwszy usłyszał te wyrazy wymierzone do siebie,

głęboko one utkwiły w jego główce, smutnie się odbiły w sercu; a chociaż poprzednio wiedział już historyę swego życia, pierwszy raz dopiero uczuł, że nie ma rodziców. Prawda, że nie czuł w swych opiekunach żadnej różnicy w przywiązaniu ich do niego i dwojga ich własnych dzieci, od tego jednak czasu, ile razy spojrzał na pieszczoty Marcina lub jego żony ze swemi dziećmi, chociaż oni tych pieszczot i jemu nie żałowali, zawsze jednak małemu Władziowi łzy zakręciły się w niebieskich oczach i zabolało serce. Często w takiej chwili biegł do osobnej izby przed obraz, przed którym wszyscy wspólnie pacierze odmawiali, składał małe rączki, i ze łzami prosił Matki Boskiej, której wizerunek był tam zamieszczony, by mu pozwoliła odzyskać rodziców.

Modlitwę tę dodawał do każdego pacierza; a jeżeli przedtem przykładał się do nauk, to teraz jeszcze tymbardziej. Zawsze i wszędzie w wolnych chwilach od pracy (bo Marcin wprawiając dzieci do niej, każdemu stosowną naznaczał robotę) Władzia spotkać można było nad książką.

Upłynęło tak jeszcze lat parę; Władzio kończył już lat piętnaście, wyrastał na młodzieńca. Pracowity, pobożny wyręczał



już w gospodarstwie swego opiekuna; ale z wiekiem pragnienie poznania prawdziwych rodziców coraz bardziej wzrastało, prośba o to do Boga była coraz gorętszą, a przeczucie jakieś wewnętrzne, mówiło mu, że będzie wysłuchaną.

We wsi Powalu był mały, skromny, ale dobrze utrzymany kościołek; proboszcz staruszek, od lat przeszło trzydziestu prowadził do Bożej chwały swoję owczarnię. Władzio nauczył się sługiwać do mszy, i to wielką było dla niego pociechą. Ksiądz proboszcz kochał poczciwego Władzia, często brał go do siebie, dawał mu do czytania Pismo święte, opowiadał nieraz dzieje swego narodu—to też Władzio jak mógł tylko uwolnić się od roboty, biegł zaraz do plebanii i po parę godzin przepędzał u zacnego księdza proboszcza. A kiedy ksiądz proboszcz zauważał kilka razy, że przy mszy świętej, nieraz łzy popłynęły po twarzy młodego sieroty, raz przy wieczornej pogadance zapytał go o przyczynę tego; wtedy Władzio padł do nóg staruszka, i całując jego kolana, z płaczem przemówił:

— Ojcze proboszczu, ja tak dawno proszę Pana Boga, Najświętszej Panny Maryi, by mi pozwoliła znaleść moję matkę, mojego ojca.

Proboszczowi na to dziecinne a szczere żądanie, łzy zakręciły się w oczach; uściskał młodego Władzia i odrzekł:

— Miej nadzieję chłopcze w opatrzności Boskiej; Bóg szczerej prośby nigdy nie odrzuca.

Słowa te znacznie uspokoiły Władzia, i tylko wyglądał tej chwili, kiedy jego prośba zostanie wysłuchaną, a on ujrzy rodziców.

* * *

Przeszło lat kilkanaście, przez które prowadzimy nasze opowiadanie.

Dziedzic Powala był się już ożenił, i mając troje dzieci, przytem dorobioną fortunę, postanowił chociaż z prawdziwym żalem sprzedać Powale, i kupić dobra znaczniejsze w sąsiedztwie.

Powale wioska zamożna, dobrze urządzona miała wielu amatorów; nakoniec dziedzic ugodził się z państwem Rucz przybyłymi z obcej gubernii. Państwo Rucz oboje w średnim już wieku, chodzili dotąd dzierżawą; a że dobrze się rządzili, kochali Boga, to i Pan Bóg im błogosławił. Zebrali niemałą fortunę i

teraz Pan Bóg spełnił ich życzenia, że kupili na własność wioskę, którą już w swych myślach przeznaczali na wiano dla swej jedynaczki.

Nabywcy po skończonem kupnie uważali za pierwszy obowiązek podziękować za to Panu Bogu; a była to właśnie niedziela. Rano dzwonek wzywał pobożnych do małego kościołka dla oddania czci należnej Bogu. Kościół był napełniony, w ławkach bocznych przy wielkim ołtarzu siedzieli dawniejsi i nowi dziedzice Powala; dzwonek zakrystyi po trzykroć zadzwonił, i wyszedł stary proboszcz ze mszą świętą, poprzedzony przez Władzia, który mu w tym dniu jak zwykle służył przy ołtarzu. Msza się zaczęła. Państwo Rucz modląc się szczerze, dziękowali Panu Bogu za nowy dowód Jego błogosławieństwa, a z tą szczerą podzięką łączyć się musiała jakaś gorąca prośba, czy też przypomnienie jakiejś dawnej boleści, którą ofiarowali Bogu; bo oboje spojrzeli po sobie, spojrzeli na swoją córkę i oczy łez pełne podnieśli ku Przenajświętszej Pannie Maryi umieszczonej w wielkim ołtarzu. W tej chwili Władzio przenosił mszał z jednego na drugi koniec ołtarza. Widok tego chłopca zdawał się budzić w nich jakieś odległe wspomnienie; spojrzeli na siebie, i p. Rucz nadobre się rozpłakała; a i mąż nie chcąc rozrzewniać żony, niby pot z czoła obcierał chustką, a w samej rzeczy ukradkiem otarł dwie łzy, które zawisły na rzęsach.

Władzio położył mszał na swojem miejscu, zeszedł ze stopni ołtarza, ukląkł, i w tej chwili z kolei modlitw, które zawsze przy mszy odmawiał, podniósł oczy w górę, złożył ręce i gorąco prosił Boga o odzyskanie rodziców. Msza się skończyła.

Dziedzice wyszli z kościoła, czekali na starego proboszcza, a dobrzy wieśniacy przechodząc koło nich, witali nieśmiało nowych państwa, i z wielkim smutkiem żegnali dawniejszych. Wyszedł nareszcie proboszcz, a za nim i Władzio. Proboszcz po przywitaniu się z państwem Rucz, gdy go Władzio przy pożegnaniu pocałował w rękę, wziął go przed siebie i przedstawił państwu Rucz, nazywając poczciwym, dobrym, pobożnym i pracowitym chłopcem.

Na zapytanie pani Rucz, czyimby był synem Władzio, ksiądz opowiedział w krótkich słowach jego historyę. Ale zaledwie skończył, gdy pani Rucz prawie nieprzytomna biegnie do Władzia, rozdziera na jego piersiach koszulę, i zobaczywszy tam dziwnego kształtu znamię, ukazując je swemu mężowi, pada zemdlona na ziemię.

Rzecz się wkrótce wyjaśniła: przed trzynastu laty, banda cyganów przechodząc przez wieś, w której państwo Rucz mieszkali, za kradzież przykładnie ukaraną została; mszcząc się więc na państwu Ruczach, z rąk mamki, która wtenczas z małym Władziem była na spacerze, wyrwali gwałtem dziecko, a mamkę związaną zostawili w pobliskim lesie. Najtroskliwsze poszukiwania okazały się nadaremne, bo banda na kilka części rozdzielona, w różne udała się strony. Teraz dopiero państwo Rucz w Władziu odzyskali swego syna, a Władzio odzyskał rodziców, o których tak gorąco prosił Boga. Poczciwi zaś Marcinowie za wychowanie Władzia i wyratowanie go z rąk cyganów zostali sowicie wynagrodzeni, bo państwo Rucz darowali im na własność folwark należący do Powala.

Tak więc Pan Bóg wynagrodził z jednej strony poczciwość i dobre serce karczmarzy, z drugiej zaś szczere modlitwy i ufność w Nim położoną tak rodziców, jak i biednego sieroty.

Godziny po robocie.

XI.

—

Przed dworkiem p. Dorosza, dziedzica wsi Kalinówki, zebrała się dzisiaj po ukończeniu roboty w fabrykach i warsztatach, znana nam już gromadka, którą szanowny dziedzic przywitawszy ze zwykłą uprzejmością, temi przyjął słowy:

— I cóż mi tam nowego powiecie? dawnośmy się juz nie widzieli.

— A cóż nowego W. dziedzicu? robota, ciężka praca i koniec!

— Praca, praca... mówicie o niej zawsze z westchnieniem i przykrością, a jednak bez niej nic człowiek mieć nie może. Trzeba więc nad tem myśleć, aby tę pracę sobie ułatwiać.

— A jakimże to sposobem? zapytano... nikt to człowieka nie wyręczy, nie będzie wisiał ślusarz za kowala.

— Jużem wam moi kochani wytłumaczył dawniej, że podział pracy pomiędzy wielu ludzi zmniejsza jej ciężar. I tak dobrze jest, że jeden robi buty, drugi suknie, inny orze, ów pracuje w fabryce i t. p. To wszystko ułatwia robotę, tak dalece, że pojedyńczy człowiek może z mniejszym mozołem mieć wszystko, co mu potrzeba, chociaż tylko nad jedną rzeczą sam pracuje. Pamiętacie także ów przykład na wyrobieniu szpilek wam dany, co to gdyby jeden robotnik sam tylko robił wszystko, co do otrzymania gotowej szpilki trzeba, toby ich zrobił 20 na dzień; gdy tymczasem jak się robota rozdzieli na 10 np. ludzi, to mogą dziennie dostarczyć 40,000 szpilek, a zatem na jednego przypadnie 4000 dziennie. To wielka różnica!

— Ale jak się też zmniejszy robota, zarzucił Grzegorz, to z czegoż my biedni wyrobnicy żyć będziemy?

— Mój kochany Grzegorzu, mylisz się w tem jak wielu innych; zastanówmy się tylko nad tem lepiej. Ty podobnie jak każdy wyrobnik nie żyjesz *z pracy*, ale z tego, *co ci praca czyli twój zarobek daje*; jeżeli zaś z połową mniej trudów i mozołu mógłby każdy z was otrzymać te samę ilość np. zboża, płótna, żelaza, i t. p., czyż to zdrowy rozsądek nie radzi, abyśmy się chwytali takich sposobów?

— A to prawda W. dziedzicu!

— Pogadajmy no jeszcze więcej o tem. Oprócz korzyści powyższej z oszczędzania ile możności pracy, jest jeszcze i ta, że czas oszczędzony tym sposobem możemy obracać na inne zatrudnienia i ulepszanie wyrobów. W pracy każdej dążymy do zaspokojenia naszych potrzeb. Dobry byt tak człowieka, jak i towarzystwa każdego nie mierzy się podług pracy, ale według użytków, jakie z niej otrzymuje. Powiem wam nadto, że oprócz rozdziału i dobrego urządzenia pracy, machiny i inne wynalazki ułatwiają też pracę człowieka.

— Ale cóż one tak dobrego robią, odezwał się Szlej, kiedy jak to bardzo dobrze powiedział Grzegorz, odbierają i one wyrobnikom zajęcie? Jeszcze w kraju, gdzie jest dużo fabryk, to niechby tam; ale u nas, gdzie robotnicy przywykli do zarabiania na życie przez wyrób jednego przedmiotu, to wynalezienie do tego machiny, która ich ręce zastąpi, zostawi ich bez chleba.

— Na ten zarzut bardzo łatwo ci odpowiedzieć. Co to jest pracować, czyli wyrabiać co dla innych? Ha! jest to sprzedawać innym swą pracę, czyli usługi — prawda?

— Prawda, odrzekł Szlej.

— Powiedz mi teraz, czybyś chciał płacić za gwoździe np. pończochy, lub sukno drożej, gdyby wyrabiający je dla uporu przy dawnem musiał użyć dziś na ich otrzymanie dwa razy więcej czasu, kiedy inny zdolny i pracowity, przy pomocy wynalazków i ułatwień w wyrabianiu tych przedmiotów, sprzedałby ci je o połowę, a nawet i więcej jak o pół taniej?

— Nie, płacić trzeba tyle, ile są warte.

— A zatem zgoda. Kiedy w skutek takiego wynalazku można nieporównanie taniej mieć wyroby, które wprzód daleko drożej kosztowały, to rzecz jasna, iż wszyscy będą kupować tam, gdzie taniej; a ten majster, który z wynalazku nie będzie chciał korzystać, zostanie bez roboty.

— To też na moje wychodzi, przerwał Szlej, że obok machin i wynalazków, robotnicy z głodu umierać mogą.

— Ale jeszcze nie koniec, posłuchaj dalej. Robotnik każdy nie może czekać z zapłatą, aż robota przez majstra lub właściciela fabryki będzie spieniężona; ale przeciwnie musi mieć ją zaraz zapłaconą.

— To się wie, zawołał Grzegorz.

— Poczekaj, to dobrze. A zatem trzeba na to właścicielowi lub majstrowi mieć pieniądze, czyli *kapitał gotowy* zaoszczędzony; i im ten kapitał będzie większy, tem zapłata robotnikowi będzie łatwiejsza i prędsza. Doświadczenie zaś nauczyło, że użycie machin *kapitał ten powiększa*, a zatem powiększa i zarobek. Tak we Francyi, Anglii i Belgii, po zaprowadzeniu machin robota ręczna o 10 razy się pomnożyła, a byt robotników znakomicie się polepszył. Oprócz bowiem powiększania się dla nich zarobku, robotnicy ci mogą nabywać daleko taniej mnóstwo przedmiotow, przez machiny wyrabianych, których wprzód dla ich drogości mieć nawet nie mogli.

Ale na co tu długich wywodów? Gdyby machiny były szkodliwemi dla robotników, to i wszystko, co skraca pracę, albo ją ułatwia, trzebaby zniszczyć; a tak należałoby za-

rzucić młyny wodne, młockarnie, sieczkarnie, i dalej nawet młot piłę, hebel, igłę, cęgi, siekierę, taczki, łopatę, rydel, kosę, pług, bronę i t. p.

— A niechże Bóg broni! zawołano gromadnie, a cóżbyśmy bez nich poczęli?

— Tak moi kochani, niech Bóg od tego zachowa. Machiny zatem nie znoszą pracy, ale ją przenoszą; a choć chwilowo mogą odebrać jakieś korzyści pojedyńczym ludziom, są przecież dobrodziejstwem dla całej społeczności naszej. Czyż więc można poświęcać dobro ogólne wszystkich, dla chwilowych i przemijających niekorzyści niektórych ludzi?

— To możeby chyba już i te maszyny przyjąć, odezwał się Grzegorz, byle nie razem wszędzie zaprowadzać.

— Dlaczegoż to, mój Grzegorzu, tak ci się nie podobają? Oto zapewne dlatego, iż cię zmuszają do szukania innego rodzaju zajęcia. A dlaczegoż chcesz, aby ci płacono za twą robotę drożej, niżeli tego jest warta?

— Ale ja wcale tego nie mówię.

— Owszem mówisz mój przyjacielu, bo chcesz, aby ci płacono w fabryce za twą robotę więcej, kiedy ją machina za tańsze pieniądze wykona. A jeżeliby ci płacono za robotę drożej, toby im brakło pieniędzy i nie mogliby dać zatrudnienia więcej robotnikóm, tobie podobnym i potrzebującym jeść chleba. Czy prawda?

— A prawda; nie pomyślałem o tem.

— Niedosyć tego, gdyby, jak ty żądasz, zakazano u nas wprowadzać machiny, wtenczas, kiedyby ich inni używali zagranicą i swoje bogactwo przez to powiększali, tobyś dobrodziejstwa tych wynalazków pozbawiał ludzi ci najmilszych, bo twych ziomków i braci. Pewnieś i o tem nie przemyślał?

— A i to prawda W. dziedzicu!

— A widzisz mój poczciwy, zrozumieliśmy się przecie. Trzeba jednak wszystko powiedzieć. Prawda, że machiny nie znosząc, ale przenosząc tylko pracę sprawiają dla rzemieślków i robotników przykrość w tem, że ich zmuszają do innego zatrudnienia. Ale i na to jest sposób.

— A jakiż to? ciekawibyśmy wiedzieć.

— Trzeba, aby robotnicy starali się nabywać wiadomości i nauki, tak, iżby byli gotowymi i uzdolnionymi do przechodzenia od jednej do drugiej pracy. I oto jeszcze nowa korzyść z zaprowadzenia machin i wynalazków, bo konieczność uczenia się.

Wiadomość o książkach dla ludu wydawanych.

Pamiętnik dla gospodarzy wiejskich *wydany nakładem Towarzystwa Rolniczego w Królestwie.*

—

Pod tym tytułem wyszła w roku bieżącym 1860 w Warszawie, w drukarni J. Psurskiego, podręczna książeczka, obejmująca wiele ważnych wiadomości dla gospodarzy wiejskich, rządców dóbr, ekonomów i innych oficyalistów. Podając o niej wiadomość, ograniczymy się się na wymienieniu przedmiotów, jakie w sobie zawiera, a co, jak sądzimy, użyteczność jej najlepiej zaleci. I tak obejmuje ona:

1. Tablicę wysiewu na 1 morg nowo-polskich główniejszych roślin gospodarskich podług M. Oczapowskiego.

2. O wegetacyi zbóż i roślin pod względem zdolności nasion do kiełkowania, czasu wegetacyi i pozostałości w gruncie po zbiorze.

3. Tablicę wagi główniejszych gatunków zboża.

4. Stosunek zbioru ziarna do zbioru słomy.

5. Stosunek wagi mąki do wagi zboża.

6. Stosunek wagi chleba do wagi mąki i zboża.

7. Tablicę ilość mąki i chleba z danej ilości zboża wykazującą.

8 Stosunek wagi mięsa i innych części użytkowych do wagi żywego zwierzęcia.

9. Czas ciężarności zwierząt domowych.

10. Czas wysiadywania jaj przez ptastwo domowe.

11. Gatunki gruntu pod względem plonu, jaki wydają z morga nowo-polskiego.

12. Tablicę porównawczą wartości pożywnej różnych rodzajów paszy.

13. Obliczenie ilości paszy potrzebnej dla inwentarza.

14, Obrachowanie produkcyi nawozu.

15. Porównanie ekonomiczne różnych gatunków nawozu podług E. Wolfa.

16. Oznaczenie czasu potrzebnego do wykonania robót gospodarskich.

17. Wykaz robocizny potrzebnej na 1 mórg

nowopolski do uprawy i zbioru różnych roślin gospodarskich, podług M. Oczapowskiego.

18. Epoki robocizny w roku podług M. Oczapowskiego.

19. Stosunek siły ogrzewającej różnych gatunków opału, podług W. Löbe.

20. Wymiary główniejszych budowli gospodarskich.

21. Obliczenie objętości sześciennej rowów i grobel.

22. Tablicę objętości rowów różnych rozmiarów.

23. Obliczenie objętości naczyń.

24. Wyrachowanie potrzeby niektórych materjałów na różne roboty gospodarskie.

25. Tablicę kubiczności drzewa w klocach.

26. Tablicę porównawczą monet krajów sąsiednich, z monetą polską, rossyjską i francuzką.

27. Tablicę zamiany monety polskiej na rossyjską, pruską, austryacką, francuzką i angielską, i odwrotnie.

28. Tablicę zamiany talarów pruskich na złote polskie z doliczeniem agio.

29. Tablicę porównawczą miar krajów sąsąsiednich z miarami polskiemi, rossyjskiemi i francuzkiemi.

30. Tablicę zamiany miar długości.

31. Tablicę zamiany miar powierzchni, czyli gruntowych.

32. Tablicę zamiany miar objętości do zboża.

33. Tablicę zamiany miar i wagi.

34. Tablicę redukcyjną wagi korca na wagę czetwierti, szefla i worka holenderskiego.

35. Stosunek ceny między łasztem pruskim, a korcem polskim.

36. Stosunek ceny między kwarterem angielskim, a korcem polskim.

37. Stosunek ceny między hektolitrem francuzkim, a korcem polskim.

38. Tablicę procentów przypadających rocznie i miesięcznie, podług różnej stopy procentowej.

39. Stosunek ceny między czetwertem rossyjskim, a korcem polskim.

40. Zbiór przepisów na różne choroby zwierząt domowych.

41. Wiadomość o ubezpieczeniu ruchomości od pożarów.

42. Taryfę opłat pocztowych.

43. Taryfę telegrafów elektro-magnetycznych.

44. Taryfę drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

45. Wiadomość o cenach i przeznaczeniu papieru stemplowego.

46. Termina opłacania podatków.

47. Jarmarki krajowe i niektóre zagraniczne.

Dosyć rzucić okiem na powyższy spis rzeczy, aby się przekonać, ile pamiętnik ten ułatwia gospodarzowi mozolnej pracy, ile mu podaje pożytecznych wskazówek w obrachowaniach rolniczych, o których możeby nawet nie pomyślał; ile mu oszczędzić może kłopotów w obliczeniu paszy dla inwentarza, w obrachowaniu pożywności nawozów i t. p. Smiało zatem twierdzić możemy, że tak pożyteczna książeczka, która po-raz pierwszy zjawia się u nas, wpłynąć winna znakomicie na uregulowanie stosunków gospodarskich. Dlatego byłoby do życzenia, aby zajmowała ona pierwsze miejsce w księgozbiorze gospodarzy wiejskich, a raczej aby była nieodstępnym ich towarzyszem i poradnikiem.

Główny skład rzeczonego pamiętnika jest w Warszawie, w księgarni Gust. Gebethnera i spółki; cena exemplarza w oprawie tekturkowej wynosi kop. 25 czyli złp. 1 gr. 20, w oprawie ozdobniejszej w kształcie wielkiego pugilaresu, z oddziałem na rozmaite gospodarskie notaty i dodatkiem kalendarzyka, kop. 50 czy złp. 3 gr. 10. Nie przesadzimy, twierdząc, że wyjąwszy elementarza dla chłopców wiejskich, dotąd równie taniego wydania podobnej książki nie mieliśmy.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 26 stycznia (7 lutego) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*